

TA KSIĄŻKA NALEŻY DO

Wyrazy uznania dla
Sagi rodu Wingfeatherów

„Uwielbiam te wszystkie przygody i szaloną pomysłowość, ale przede wszystkim pasję, jaką Andrew włożył w swe książki. Jest poetą i mistrzem opowiadania. Chcę przeczytać wszystko, co napisze”.

– SALLY LLOYD JONES, autorka bestsellerów
„New York Timesa” w kategorii książek dla dzieci

„Tego doświadczenia wasza rodzina nigdy nie zapomni! Polecam te książki z całego serca!”

– SARAH MACKENZIE, autorka *The Read-Aloud Family*,
założycielka i gospodyni podcastów *Read-Aloud Revival*

„*Saga rodu Wingfeatherów* jest dowcipna oraz pełna pasji i wyobraźni. Polecam ją gorąco młodszym nastolatkom, którzy przeczytali już wszystkie części *Narnii* i szukają kolejnej wspaniałej serii”.

– ANNE BOGEL, założycielka bloga *Modern Mrs Darcy*
i gospodyni podcastu *What Should I Read Next?*

„Niesamowicie pomysłowa i cudownie zuchwała epopeja, błyszcząca dowcipem i mądrością – zawiera rewelacyjne porady, jak radzić sobie z pluskaczami, Fangami, a nawet z zębatą krową”.

– ALLAN HEINBERG, twórca i producent współwykonawczy
serialu stacji ABC *Chirurdzy* i współtwórca komiksu
Marvela *Young Avengers*

„Głęboko inteligentna!”

– PHIL VISCHER, twórca *VeggieTale*

**NAD BRZEGIEM
MORZA CIEMNOŚCI**

ANDREW PETERSON

SAGA RODU

WINGFEATHERÓW

KSIĘGA PIERWSZA

NAD BRZEGIEM
MORZA CIEMNOŚCI



Wydanie I, Ustroń 2021

Tytuł: ON THE EDGE OF THE DARK SEA OF DARKNESS.

Wszelkie postacie i wydarzenia w tej książce są fikcyjne, a ich podobieństwo do rzeczywistych osób lub wydarzeń – przypadkowe.

Autor: Andrew Peterson

Tłumaczenie: Karolina Siupa

Redakcja: Tomasz Powyszyński

Korekta: Agnieszka Luberadzka, Bartosz Szpojda

Skład i przygotowanie do druku: Sylwia Cupek

Projekt graficzny okładki dostosowała z oryginału: Sylwia Cupek

Druk: Drukarnia Skleniarz, Kraków

Polish Translation Copyright © 2021 by Szaron Grzegorz Przeliorz

This translation published by arrangement with WaterBrook,
an imprint of Random House, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © 2008 Andrew Peterson

Mapa Oskara Copyright © 2008 by Andrew Peterson

Rysunek zębatej krowy Copyright © 2020 by Aedan Peterson

Wszystkie inne ilustracje wewnątrz Copyright © 2020 by Joe Sutphin

Rysunek na okładce autorstwa Nicholasa Kole'a

Projekt okładki: Brannon McAllister

Do dystrybucji na terenie całego świata:

Wydawnictwo Szaron, ul. 3 Maja 49a, 43-450 Ustroń

tel.: 797 802 444, e-mail: wydawnictwo@szaron.pl

wydawnictwo.szaron.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej książki nie może być kopiowana ani przesyłana w jakiegokolwiek formie ani żadnymi środkami, elektronicznymi lub mechanicznymi, w tym kserokopiami i nagraniami, ani jakimkolwiek systemem przechowywania i wyszukiwania informacji bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Ustroń 2021

ISBN 978-83-8247-019-2

Książkę można nabyć:

Księgarnia i hurtownia Szaron

43-450 Ustroń, ul. 3 Maja 49a

tel.: 503 792 766,

e-mail: zamowienia@szaron.pl

szaron.pl





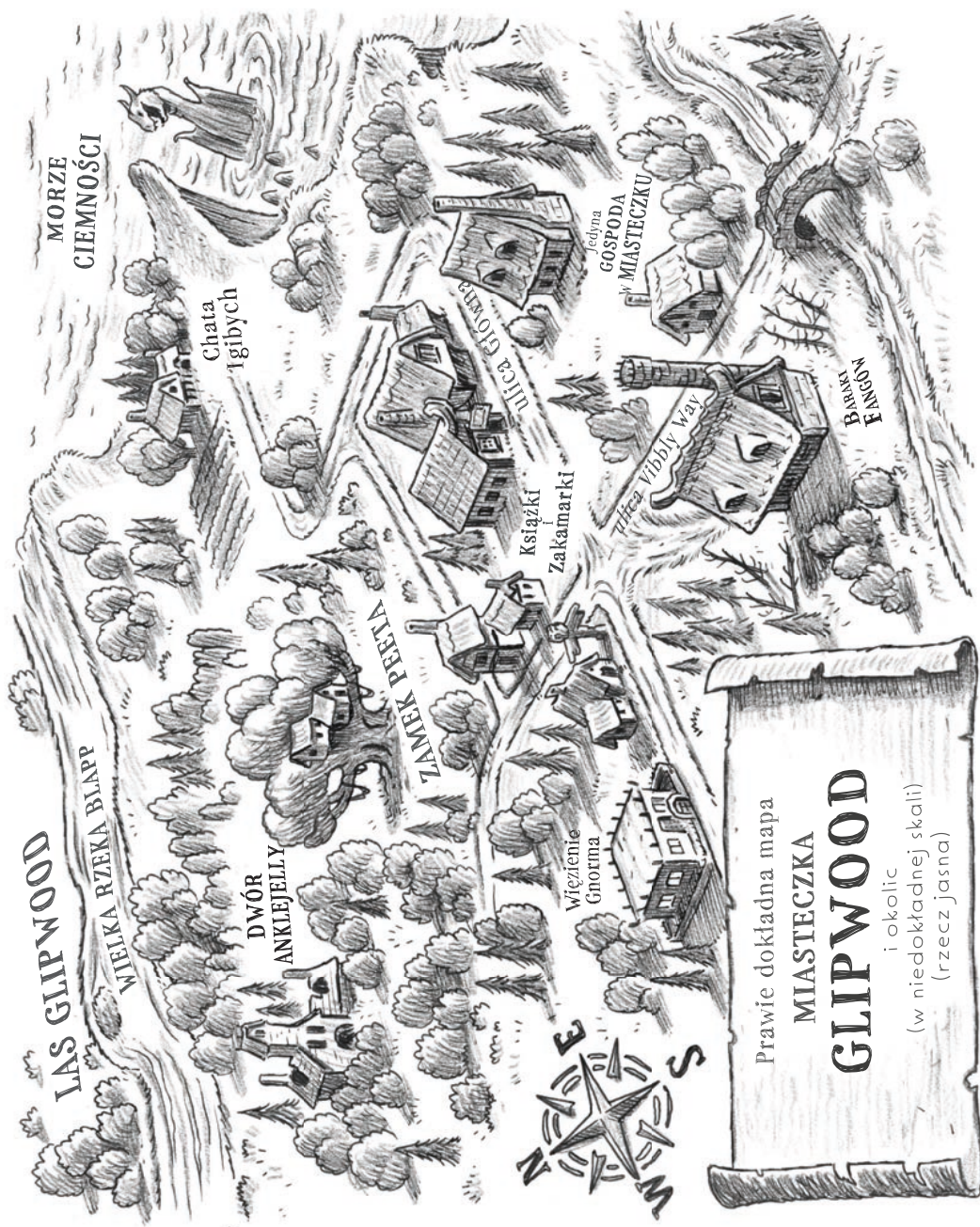
Mojemu bratu

Spis treści

- Krótkie wprowadzenie do świata Aerwiar • 15
- Nieco dłuższe wprowadzenie do krainy Skree • 17
- Wprowadzenie do rodziny Igibych (bardzo krótkie) • 19
 - 1 • Nadjeżdża powóz, Czarny Powóz • 21
 - 2 • Młotki, ziemniadory i bryłki • 26
 - 3 • Worek pluskaczy • 31
 - 4 • Nieznajomy imieniem Esben • 38
- 5 • Księgarz, Skarpeciarz i miasteczko Glipwood • 42
 - 6 • Bard w Dunn's Green • 53
 - 7 • Bosy i obdarty • 59
 - 8 • Dwa rzucone kamienie • 64
 - 9 • Szlak Płetwinów • 68
 - 10 • Leeli i smocza pieśń • 73
 - 11 • Kruk i powóz • 80
- 12 • To nie gra w statki i rekiny • 87
- 13 • Pieśń dla Świetlistej Wyspy • 92
- 14 • Sekrety i zupa rybna z serem • 100
- 15 • Dwa sny i jeden koszmar • 103
- 16 • Książki i Zakamarki • 110
- 17 • Dziennik Bonifera Squoona • 117

- 18 • Napotkany sekret • 125
- 19 • Rozpacz, biadanie i wielki żal • 130
 - 20 • Dwór Anklejelly • 137
 - 21 • Wielkie, rogate psy • 144
 - 22 • Głęboko w katakumbach • 148
- 23 • Zawodzący duch Brimneya Stupego • 154
 - 24 • Droga do domu • 157
 - 25 • W siedzibie generała Khraka • 161
 - 26 • Kłopoty w księgarni • 168
 - 27 • Pułapka na Igibych • 176
 - 28 • W głębi lasu • 180
- 29 • Szczurogony jaskiniowe i kolcerniki • 188
 - 30 • Przedwczesna śmierć Vopa • 194
 - 31 • Medalion Khraka • 197
- 32 • Przyrzędzanie pieczeni z larwami • 204
 - 33 • Mosty i konary • 210
 - 34 • Zamek Peeta • 219
 - 35 • Pożar i Fangowie • 230
 - 36 • To Czarny Powóz – wiezie strach,
ciemny prowadzi go woźnica • 237
 - 37 • Szpony i proca • 243
 - 38 • Trudna decyzja • 253
- 39 • Prezent od Buzzarda Williego • 262

- 40 • Zdrada • 268
- 41 • Łomot i wrzask • 274
- 42 • Żegnajcie, Iggyfings • 282
- 43 • Duch na wietrze • 286
- 44 • W ślad za Podem • 290
- 45 • Długa noc • 296
- 46 • Woda z Pierwszej Studni • 303
- 47 • Stare rany • 309
- 48 • Schronienie • 313
- 49 • Klejnoty Anniery • 317
- 50 • Strażnicy Tronu • 321
- 51 • List z domu • 328
- Załączniki • 333
- O Autorze • 343



MORZE
CIEMNOŚCI

Chata
Tgibych

Jedyna
GOSPODA
w MIASTECZKU

Branżi
Engon

Książki
Zakamarki

Płaza
Widybny Way

MIELKA RZĘKA
BLAPP

Dwór
Anklejelly

ZAMEK
PELLA

Wieżenie
Gnorna

Młoc
GLIPWOOD

LAS
GLIPWOOD



Prawie dokładna mapa
MIASTECZKA

GLIPWOOD

i okolic
(w niedokładnej skali)
(rzecz jasna)

Krótkie wprowadzenie do świata Aerwiar

Jak głosi legenda, gdy pierwszy człowiek obudził się pierwszego ranka w świecie, w którym toczy się nasza opowieść, ziewnął, przeciągnął się i rzekł do pierwszej rzeczy, jaką zobaczył: „Oto jesteśmy”¹. Miał na imię Dwayne, a pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, była skała. Obok niej zaś leżała kobieta, Gladys, z którą później nauczył się świetnie dogadywać. W kolejnych stuleciach to właśnie zdanie przekazywano dzieciom, dzieciom ich dzieci, kuzynom rodziców ich dzieci i tak dalej, aż – zupełnie przez przypadek – wszelkie istoty umiejące mówić zaczęły nazywać otaczający ich świat „Aerwiar”.

Aerwiar leżał na dwóch kontynentach, rozdzielonych przez ocean zwany Morzem Ciemności. Pod koniec Czwartej Epoki ziemie na wschód od morza zaczęto nazywać Dang, co nie ma związku z naszą opowieścią (no chyba że chodzi o Wielkie Zło, które się tam zagnieżdżyło i toczyło Wielką Wojnę praktycznie ze wszystkimi).

To Zło nie miało imienia, więc zaczęto go nazywać się Gnag Beziemienny. Władał on ze szczytów gór Killridge z zamku Throg. Głęboko gardził wszystkimi, którzy zamieszkiwali Aerwiar, a najbardziej nienawidził Wielkiego Króla Wingfeathera z wyspy Anniera. Z nikomu nieznanym powodów Gnag i jego podłe hordy przemaszerowali na

1 Ang. *Here we are* – stąd brzmiąca podobnie nazwa krainy „Aerwiar” – przyp. tłum.

zachód i zajęli Świetlistą Wyspę – Annierę, na której polegli dobry król, jego ród i jego dostojnicy.

Nienasycony Bezimienny Zły zbudował flotę, która przetransportowała jego potworną armię na zachód poprzez Morze Ciemności aż na kontynent Skree. Gnag pustoszył bezkresne ziemie Skree przez dziewięć długich lat, aż do momentu, w którym zaczyna się nasza historia.

Nieco dłuższe wprowadzenie do krainy Skree

Cała kraina Skree była płaska i zielona – z wyjątkiem Gór Kamiennych na północy, które nie były płaskie ani trochę. Ani zielone. Były raczej białe od pokrywającego je śniegu, choć pewnie gdyby się roztopił, to coś zielonego może by na nich wyrosło.

Idźmy dalej na południe. Pozostałe ziemie krainy Skree pokrywały falujące (i zdecydowanie zielone) pastwiska równiny Palen Jabh-J. Z wyjątkiem – ma się rozumieć – lasu Glipwood. Na południe od równin ostatnim punktem na wszelkich mapach były lasy Linnard – no chyba że były to mapy mieszkańców tamtych odległych, lesistych krain.

Ludzie, osiedleni na równinach, na skraju lasu, wysoko w górach i nad wielką rzeką Blapp, cieszyli się powszechnym i trwałym pokojem – poza okresem wspomnianej Wielkiej Wojny, którą dość żałośnie przegrali i która całkowicie zrujnowała ich dotychczasowe życie.

Dziewięć lat po tym, jak król Skree i wszyscy jego możni – tak naprawdę to wszyscy z prawem do tronu – zostali wybici do nogi, lud Skree nauczył się żyć pod okupacją Fangów z ziemi Dang. Fangowie poruszali się jak istoty ludzkie i nawet wyglądali dokładnie jak ludzie, z tą różnicą, że ich ciała pokrywały zielonkawę łuski, a z ich warczących jaszczurzych paszcz wystawały dwa długie, jadowite kły. Mieli także ogony. Odkąd Gnag Bezimienny podbił wolną krainę Skree,

Fangowie okupowali wszystkie miasta, ściągali podatki i uprzykrzali życie wolnych Skreańczyków. Mieszkańcy Skree, owszem, cieszyli się wolnością, ale pod warunkiem, że byli w domu przed północą, nie nosili broni i nie narzekali, gdy innych Skreańczyków wywożono za morze i słuch o nich przepadał. Poza okrucieństwem Fangów i ciągłym widmem śmierci i tortur w Skree natomiast nie było się czego obawiać. W Górach Kamiennych włochate nublorozce z długimi zębami i głodnymi brzuchami pełzały po ziemi i po zamrzniętych wodach Lodowych Prerii. Na preriach nieliczni mieszkańcy codziennie walczyli z sępołowami. Dalej na południe równiny Palen Jabh-J były piękne i bezpieczne, jeżeli nie liczyć borszczurów, prześlizgujących się wśród wysokich traw (rolnik z Torrboro Południowego twierdził, że widział jednego wielkości młodego miauka; te rozmiarem dorównują dorodnym czaplinom, a znów one są przecież równie okazałe jak wiotczaki).

Źródlanoczysta rzeka Blapp płynęła szerokim i spokojnym nurtem i spadała z głośnym rykiem do wodospadu Fingap. Pływające w niej ryby były pyszne w smaku i łagodne, oprócz tych licznych gatunków, które były trujące w dotyku, czy sztyletników znanych z tego, że wskakiwały do łodzi i przebijały na wylot ciało nawet najpotężniejszego rybaka.

Wprowadzenie do rodziny Igibych (bardzo krótkie)

Nieopodal miasteczka Glipwood, na krawędzi klifu biegnącego nad Morzem Ciemności, znajdowała się mała chatka, zamieszкана przez rodzinę Igibych. Chata była raczej prosta, lecz bardzo wygodna, ładnie zbudowana i zaskakująco schludna, jak na dom zamieszkaną przez trójkę dzieci. Od chaty Igibych biło światło miłości niczym blask kominka z ich okien wieczorową porą.

A sami mieszkańcy?

Przesiadali do późna przy palenisku, gdzie opowiadali sobie historie, śpiewali w ogrodzie w czasie zbiorów, a dziadek Podo Helmer zasiadał na ganku z fajką i wydmuchiwał kółka z dymu. Mimo tych wszystkich ciepłych rzeczy, które wypełniały ich dni niczym kufel cydru w zimowy wieczór, byli jednak dość nieszczęśliwi. Naprawdę nieszczęśliwi w krainie, w której grasowali Fangowie z ziemi Dang.

Nadjeżdża powóz, Czarny Powóz

Janner Igiby leżał w łóżku z zaciśniętymi powiekami i z drżeniem wsłuchiwał się w przerażający turkot Czarnego Powozu, który przejeżdżał po drodze w bladym świetle księżyca. Jego młodszy brat Tink chrapał nad nim na łóżku piętrowym, a sądząc po oddechu, jego młodsza siostra Leeli również spała. W przyływie odwagi Janner otworzył oczy i spojrzął na księżyc, blady niczym trupia czaszka szczerząca się zza okna. Chociaż Janner bardzo starał się o tym nie myśleć, w jego głowie rozbrzmiewał wierszyk z dzieciństwa, którym od lat straszono dzieci w krainie Skree. Leżąc w sieni poświacie księżyca, Janner cicho szeptał pod nosem jego strofy:

Powóz przekracza rzekę Blapp
Mrokiem wypełnia się ulica
To Czarny Powóz – wiezie strach
Ciemny prowadzi go woźnica

Dziecię, gdy powóz zbliża się
Słyszysz pod domem tętent koni
Módl się, by Stwórca dał ci sen
Co przed porwaniem cię uchroni

Inaczej powóz cię wywiezie,
Będziesz rozpaczał w swej niedoli
Za morzem, gdzie lodowa twierdza
Gnag Bezimienny cię zniewoli

Na zamku Throg, w głębokim lochu
Daleko od najbliższych twoich
Nikt nie usłyszy twego szłochu
Nikt twej rozpaczy nie ukoi

Powóz przekracza rzekę Blapp
Mroczne obłoki mkną po niebie
To Czarny Powóz – wiezie strach
Módl się, by dziś nie zabrał ciebie.



Nic dziwnego, że Janner nie mógł zasnąć, odkąd tylko usłyszał nadbiegający z oddali cichy tętent kopyt i brzęk łańcuchów. W wyobraźni zobaczył wrony krążące nad powozem i siadające na jego dachu; słyszał ich krakanie i trzepot czarnych skrzydeł. Wmawiał sobie, że te dźwięki to tylko jego złudzenie, ale wiedział, że tej nocy gdzieś w miasteczku Czarny Powóz zatrzyma się przed domem jakiegoś nieszczęśnika i na zawsze zabierze jego dzieci.

Zaledwie tydzień wcześniej przypadkiem podsłuchiwał, jak matka z płaczem opowiadała o porwaniu pewnej dziewczynki z Torrboro. Sara Cobbler była w wieku Jannera. Spotkał ją tylko raz, gdy jej



rodzina przejeżdżała przez Glipwood. Teraz odeszła na zawsze. Pewnej nocy leżała w łóżku, tak jak on w tym momencie. Pewnie pocałowała rodziców na dobranoc, zmówiła wieczorną modlitwę i przyjechał po nią Czarny Powóz.

Czy była wtedy przytomna?

Czy słyszała parskanie czarnych rumaków zza okna? Czy widziała kłęby pary buchające z ich nozdrzy?

Czy Fangowie z Dang ją związali?

Czy wyrывała się, kiedy zanosili ją do powozu i wrzucali do jego wnętrza, niczym pokarm do paszczy potwora?

Cokolwiek by robiła, i tak by jej to nie pomogło. Została wydarta rodzinie i to był koniec. Rodzice Sary zorganizowali po jej utracie czuwanie pogrzebowe, gdyż porwanie przez Czarny Powóz oznaczało tyle, co śmierć. Mogło przydarzyć się każdemu, w każdej chwili, i nijak nie można było się przed nim uchronić. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że gdy powóz pojawi się na czyjejś ulicy, to minie jego dom i pojedzie dalej.

Metaliczny tętent kopyt roznosił się echem w ciemnościach. Czy Czarny Powóz się zbliża? Czy skręci w ścieżkę do chaty Igibych? Janner modlił się do Stwórcy, by tak się nie stało.

Nugget, pies Leeli, śpiący przy jej łóżku, uniósł głowę i zawarczał w kierunku ciemnego okna. Janner ujrzał na tle księżyca wronę siedzącą na nagiej gałęzi. Zadrzał i mocniej podciągnął kołdrę pod brodę. Ptak przekrzywił głowę i chłopak odniósł wrażenie, że wpatruje się prosto w jego okno i śmieje się szyderczo z chłopca, w którego szeroko otwartych oczach odbija się światło księżyca. Janner leżał w przerażeniu i marzył o tym, by zapaść się w łóżko tak głęboko, by wronie oczy nie zdołały go dojrzeć, lecz ta zerwała się i odleciała z łopotem skrzydeł. Księżyc zakryły chmury, a tętent kopyt i stukot powozu milkły coraz bardziej. W końcu zapadła cisza.

Janner zdał sobie sprawę, że od dłuższej chwili wstrzymuje oddech, więc powoli wypuścił powietrze. Usłyszał, jak Nugget uderza ogonem o ścianę, i poczuł się mniej samotny, wiedząc, że piesek czuwa tak jak on. Wkrótce zapadł w głęboki sen, zakłócany przez niespokojne koszmary.

Młotki, ziemniadory i bryłki

Z nastaniem poranka sny odpłynęły.

Słońce świeciło, a poranny chłód powoli przemieniał się w gorący, letni żar. Janner wyobrażał sobie, że umie latać. Obserwował unoszące się nad pastwiskiem ważki i próbował wczuć się w ich umysły, widzieć i odczuwać to samo co one. Wyobrażał sobie, jak dzięki delikatnym ruchom skrzydeł przesuwa się nad łąką, jak szybuje w lewo i w prawo, jak unosi się z wiatrem nad wierzchołkami drzew i opada za urwiskiem, prosto nad Morze Ciemności. Pomyślał, że gdyby był ważką, to uśmiechałby się w locie (choć nie był pewien, czy one potrafią się uśmiechać), gdyż nie musiałby się obawiać, że potknie się, chodząc po ziemi. W ciągu ostatnich kilku miesięcy Janner miał wrażenie, że zupełnie stracił kontrolę nad swoimi kończynami – jego palce się wydłużyły, stopy urosły, a matka niedawno powiedziała mu, że jest patykowaty.

Chłopak rozejrzał się dookoła, by upewnić się, że nikt nie patrzy, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej złożoną kartkę. W jego żołądku coś zatrzepotało, zupełnie jak wtedy, gdy tydzień wcześniej znalazł ją, zamiatając sypialnię matki. Rozłożył ją i uważnie przyglądał się rysunkowi chłopca stojącego na dziobie niewielkiej żaglówki. Chłopiec, ze swoimi ciemnymi włosami i patykowatą sylwetką, był uderzająco podobny do Jannera. Na niebie nad nim jaśniały ogromne, kłębiaste chmury, a mokre fale rozbijające się z szerokim rozbryzgiem

o kadłub wyglądały tak realistycznie, że Janner bał się dotknąć rysunku, by go nie rozmazać. Poniżej widniał napis: „Moje dwunaste urodziny. Dwie godziny samotności na otwartym morzu. Jak dotąd najlepszy dzień mojego życia”.

Na dziele nie było żadnego imienia, ale w głębi serca Janner był pewien, że tym chłopcem był jego ojciec.

Nikt nigdy nie wspominał o nim – ani matka, ani dziadek. Janner wiedział o nim bardzo niewiele. Patrząc na rysunek, czuł, że gdzieś na dnie jego duszy otwiera się jakieś ciemne miejsce i umacnia go w podejrzeniu, że w życiu chodzi o coś więcej niż tylko o to, by żyć i umrzeć w miasteczku Glipwood. Janner nigdy nie widział z bliska żadnej łodzi. Obserwował je tylko z klifów, małe punkciki przecinające powierzchnię fal leniwymi wstęgami, kierowane przez załogę w podróż ku przygodom lub innym celom. Wyobrażał sobie, jak stoi na pokładzie własnego statku i że tak jak chłopca z rysunku, owiewa go wiatr i zrasza kropelkami morskiej wody...

Wyrwany gwałtownie ze swoich marzeń, Janner zdał sobie sprawę, że stoi po kolana w szorstkim sianie i opiera się o widły. I że zamiast oceanicznej bryzy w jego twarz buchają tumany kurzu i plew, wzbijane w powietrze przez konia. Danny, ich koń pociągowy, stał zaprzęgnięty do wozu wypełnionego do połowy sianem i czekał niecierpliwie, aż zwiezie je z pola do stodoły. Janner pracował od wschodu słońca, zwiózł już trzy pełne wozy i nie mógł się doczekać końca tej roboty.

Tego dnia wypadła festyn z okazji Święta Smoków. Był to jedyny dzień w roku, gdy Janner cieszył się, że mieszka w cichym miasteczku Glipwood.

Ich wioska cały rok czekała na Święto Smoków. Cała kraina Skree ściągała wówczas do Glipwood na różne rozgrywki, zabawy i biesiady. Z dalekich miast przyjeżdżali dziwni przybysze, a z Morza Ciemności wyłaniały się smoki.

Jak sięgał pamięcią, w ciągu dwunastu lat swego życia Janner nigdy nie wyjechał z Glipwood. Festyn był więc dla niego jedyną okazją, by zobaczyć kawałek innego świata – i dobrym powodem, by szybko uporać się ze zwózką siana. Otarł pot z czoła, rzucił tęskne spojrzenie odlatującej wałce, po czym burcząc pod nosem, wbił widły w siano i zarzucił je na wóz. W tym momencie jego stopa poślizgnęła się na ukrytym kamieniu. Runął do przodu i zanurzył się twarzą w stercie świeżutkich bryłek końskiego łajna.

Zerwał się na równe nogi, plując i wycierając twarz garściami siana. Danny spojrzał na niego, parsknął i ugryzł kępę trawy, a Janner poleciał prędko, niczym wałka, do koryta z wodą, by obmyć twarz.

Na drugim krańcu pola, za płotem, brat Jannera Tink (który miał na imię Kalmar) siedział okrakiem na dachu chaty z dwoma gwoździami w zębach i młotkiem w ręku. Próbował przybić obluzowany gont, ale szło mu opornie, gdyż trzął się jak osika. Kiedy był młodszy, już samo noszenie w ramionach dziadka wzbudzało w nim strach, i chociaż się śmiał, to w oczach zawsze miał przerażenie, dopóki nie postawiono go bezpiecznie na ziemi.

Jego dziadek Podo zawsze wyznaczał go do naprawy dachu, bo uważał, że dobrze będzie, jak zmierzy się ze swoim strachem. Tink, już jedenastoletni, bał się jednak tak samo jak zawsze. Drżąc jak liść na wietrze, wyjął gwóźdź spomiędzy zębów i zaczął przybijać go do dachu tak strachliwie, jakby walił młotkiem we własną twarz. Spojrzał w dal przez pole, zobaczył, jak Janner nurkuje głową w korycie z wodą, i zamarzył o tym, by skończyć swoją robotę i zagrać w zebkę² ze starszym bratem na festynie z okazji Święta Smoków.

2 Zebka zyskała wielką popularność w kranie Skree w 356 roku w Trzeciej Epoce. To gra boiskowa, rozgrywana za pomocą ogromnych rzutek (wyrzucanych wysoko w powietrze przez drużynę atakującą), kija (w kształcie płaskiej deski z rączką) i trzech kamieni. Niestety, kontuzje były tak liczne, że ze względu na oburzenie społeczne gra została zakazana. W 372 roku odkryto, że można grać w bezpieczniejszą wersję gry, zastępując gigan-

Tink na dachu był do niczego, za to na twardej ziemi potrafił biegać jak rączy rumak.

Już przy pierwszym uderzeniu młotkiem gwóźdź wypadł Tinkowi z rąk. Próbował go złapać, lecz nie zdążył i zamiast tego przywarł płasko do rozgrzanego dachu, trzymając się go obiema rękami. Gwóźdź i młotek zsunęły się z szelestem w przeciwnych kierunkach i spadły na ziemię. Tink jęknął, gdyż zrozumiał, że będzie musiał powolutku zjechać do krawędzi dachu i zejść po drabinie, a to oznaczało jeszcze więcej czasu przy robocie, zanim pojedą do miasteczka na festyn.

– Nie zgubiłeś czegoś?

Strach Tinka przerodził się w burczenie.

– Po prostu rzuć mi go z powrotem, dobrze?

Chłopak usłyszał śmiech i zobaczył, jak jego młotek leci do góry, robi salto w powietrzu i ląduje metr od niego. Zebrał się na odwagę, sięgnął ku krawędzi dachu i chwycił go drżącą ręką, zanim ten zdążył spaść z powrotem.

– Dzięki, Leeli! – zawołał nieco spokojniejszym tonem.

Dziewczyna usiadła z powrotem na tylnych schodach chaty i obiebrała ziemniadory, nucąc pod nosem. Nugget położył się w wygodnym cieniu u jej stóp, machał ogonem i dyszał. Po jakimś czasie Leeli wstała, oparła się o małą, drewnianą kulę, strzepała obierki z sukienki i pokuśtykała z wiadrem do domu, a pies podążył za nią.

Jej prawa noga tuż pod kolanem skręcała się do wewnątrz pod nienaturalnym kątem, a palcami chorej stopy szurała delikatnie po drewnianej podłodze. Gdy była jeszcze mała, nauczyła się chodzić z niewielką kulą pod pachą i co roku dziadek sprawiał jej większą. Każda kolejna była solidniejsza i bardziej ozdobna od poprzedniej.

tyczne rzutki miotłami. Pełne zasady i głębsze wejrzenie w fascynującą i krwawą historię zębzy można znaleźć w artykule *Gra, Krew i Pot* autorstwa Vintcha Trizbecka (Wydawnictwo Trzy Widelce, Valberg, 3/423).

Tę obecną wykonał z drewna cisowego i na całej długości ozdobił fioletoowymi kwiatuśkami.

Leeli postawiła na stole z chlupotem wiadro obranych ziemniaków. Nia, jej matka, siedziała odwrócona do niej plecami i wrzucała składniki do wielkiego kotła z gulaszem.

– Dzięki, skarbie. – Nia wytarła ręce w fartuch i zawinęła niesforne kosmyki za ucho. Była wysoka i zgrabna; Leeli uważała, że jej matka jest tak piękna, iż jej prosta sukienka leży na niej jak królewska szata. Ręce Nii były krzepkie i pełne odcisków od wielu lat ciężkiej pracy, ale też wystarczająco łagodne, by zaplatać włosy córki czy głaszać buzie synów, gdy całowała ich na dobranoc.

– Przeprowadzisz mi dziadka do domu? – spytała. – Od godziny zrywa zioła w ogrodzie, co oznacza tylko jedno.

Leeli się roześmiała.

– Znowu pluskacze?

– Obawiam się, że tak – odparła Nia, odwracając się z powrotem do kotła.

Nad głową usłyszała kolejny brzęk. Podążając za dźwiękiem, przesunęła wzrokiem po suficie aż do okna, gdzie ona i Leeli ujrzały, jak młotek Tinka spada na trawę. Z dachu dało się słyszeć zduszony jęk.

– Podniosę mu go. – Leeli wyszła, utykając, przez tylne drzwi i ponownie odrzuciła Tinkowi młotek.

Janner wpadł dzikim susem do chaty, przemoczony do suchej nitki od pasa w górę. Wniósł ze sobą obrzydliwy smród i chmarę tłustych, zielonkawych much brzęczących mu wokół głowy.

Idąc do ogrodu po dziadka, Leeli słyszała, jak matka wrzeszczy przeraźliwie i wygania Jannera z domu i jak po chwili spada mu na głowę młotek.

Worek pluskaczy

Jednonogi dziadek Leeli klęczał na ziemi i gderliwie narzekał na coś w ogrodzie. Z gałęzi zwisały dorodne czerwone ziemniadory, krągłe główki sałaty puszyły się na ziemi w długich rzędach, a liście zielobuli, marchewek i słodkawek – jej ulubionych – jaśniały od świetlistych kropli rosy.

Podobnie jak Leeli, Podo dobrze radził sobie z tylko jedną nogą, lecz zamiast chodzić o kuli, przypinał sobie pod kolanem drewnianą protezę. Nigdy się nie przyznał, jak stracił kończynę, ale wszyscy wiedzieli, że w swej dzikiej młodości był piratem, a on sam co wieczór zabawiał wnuki opowieściami o przygodach na morzu.

Na przykład o tym, jak osiemnaście osób z jego załogi pochorowało się po zjedzeniu zapasów zepsutego ponkfina, które ukradli z kutra rybackiego niedaleko wysp Fubu. Tylko Podo nic nie zjadł i musiał sam nawigować statkiem w trakcie burzy, podczas gdy pod pokładem załoga wiła się i jęczała.

– To jeszcze nie było najgorsze – opowiadał Podo. – Mówię wam! Najgorsze było jak Skreańska Marynarka Wojenna siedziała nam na rufie, waliła w nas kanonada, a strzały ze świstem przelatowały mi przez włosy. To dlatego mam teraz przedziałki w trzech miejscach, widzicie? Do dzisiaj jak poczuję zapach ponkfina, to chce mi się ściągać żagle i rzucać do ucieczki...

Dzieciaki Igibych piszczały z zachwytu, a stary Podo tak się ożywił przy opowiadaniu, że musiał ocierać pot z czoła chusteczką.

Teraz również przetarł brew i mrużąc oczy, przyglądał się liściom zielobuli.

– Dziadku? – spytała Leeli, stając za nim.

Podo gwałtownie odwrócił głowę i zamachnął się na nią wielkim, sękatym kijem. Z szopą długich siwych włosów wyglądał jak szalony starzec.

– He? Uważaj na siebie, dziecinko, mogłem cię zdzielić po głowie moją maczugą. Uniósł białe, krzaczaste brwi i przyłożył sękaty palec do ust. – Pluskacze! – szepnął.

Nagle małe, kosmate stworzonko wyskoczyło z piskiem spod liści ziemniadorów.

Podo zdzielił je kijem.

Nugget, który do tej pory tylko powarkiwał radośnie, zerwał się jak oparzony i rzucił do ogrodu z głośnym szczekaniem.

Pluskacz pospolity był niewiele większy od skunka³ – wyglądem przypominał włochatą kulkę na chudych nóżkach i sięgał do połowy jedynej łydki Poda. Kijek starca trafił w cel i wystrzelił małego podjadka hen wysoko w powietrze, lecz natychmiast z zarośli wyskoczył inny pluskacz i długimi żółtymi zębami z wściekłością ugryzł Poda w protezę. Pierwszy pluskacz uderzył o pień pobliskiego drzewa i spadł na ziemię, lecz szybko się podniósł i cisnął w starca kamykiem. Kamyk trafił Poda prosto w czoło. Ten zachwiał się, po czym potrząsając głową, zaczął okładać kijem pluskacza, który wgrzyzł się w jego drewnianą nogę.

Stwory z piskiem czmychnęły do ogrodu. Po chwili wróciły – jeden z ziemniadorem w łapkach, a drugi z garścią marchewek. Ponownie uchyliły się przed ciosem Podowego kija i zniknęły w ogrodzie.

3 Bip Thwainbly, *Chrupanie skunka* (data i wydawca nieznanne).

Podo zawył i potrząsnął patykiem nad głową.

– Stać, wy plugawe gryzonie!

Podmuch wiatru zakołysał liśćmi w ogrodzie. Siwe włosy mężczyzny uniosły się za nim w powietrzu, a bryza owiała zarys jego szczęki. Zza krzaka słodkaweł wynurzył się inny pluskacz i rzucił kolejny kamyczek w Poda. Ten zamachnął się kijem i odbił kamień z powrotem do ogrodu, a pluskacze rzuciły się do ucieczki.

– Aha! – Przez dłuższą chwilę pluskacze piszczały i świergotały między sobą.

Twarz Poda zmarszczyła się jeszcze bardziej. Opuścił kij i przyłożył sobie dłoń do ucha, jakby próbując zrozumieć, o czym mówią.

Nagle dorodny czerwony ziemniador przeciął ze świstem powietrze i rozbił się dziadkowi na twarzy.

– Tylko nie ziemniadory! – Podo wytarł miąższ z oczu i odbił kolejne warzywo kijem. – Nie moje ziemniadory!

Leeli odwróciła się i zobaczyła, jak staruszek z dzikim rykiem rzuca się do ogrodu. Uśmiechnęła się i pokuśtykała z powrotem do chaty, z której dobiegał silny aromat śniadania.

Nia milcząco przemaszerowała obok niej do ogrodu, zerwała dwa liście z krzewu różopieprzu i wróciła do kuchni, nie zwracając najmniejszej uwagi na szczekanie Nuggeta, wściekłe wrzaski Poda i fruwanie w powietrzu pluskacze.

Janner, który wreszcie zdołał zmyć nawóz z twarzy i włosów, wrócił do domu ociekając wodą.

Chudy jak patyk Tink usiadł do stołu obok Leeli. Utkwił wzrok w wielkim stosie skwierczącej na piecu kielbasy, a jego żołądek zaburczał z głodu na całą izbę.

– No! Tak lepiej. – Nia skrzyżowała ramiona i siłą powstrzymała śmiech na widok Jannera. – Już myślałam, że ci trawa na twarzy wyrośnie.

Chłopak oblał się rumieńcem, potrząsnął głową i usiadł do stołu.

Leeli i Tink z trudem tłumili chichot. Nia przyciągnęła sobie krzesło, spoczęła przy stole, opierając podbródek na rękach, i patrzyła, jak jej dzieci jedzą. Janner wyglądał przez okno w zamyśleniu; Tink, schylony nad talerzem niczym sępołów, pałaszował gorące placeśniki z kiełbasą, jakby miały mu zaraz uciec. Leeli patrzyła na braci i związała rąbek od sukienki, nucąc cicho i kołysząc głową w przód i w tył w rytmie przeżuwania.

– Najedzcie się porządnie, moje skarby, to będzie długi dzień – powiedziała Nia z uśmiechem.

Dzieci wybałuszyły szeroko oczy.

– Morskie smoki! – zakrzyknęły jednocześnie.

Nia roześmiała się i wstała od stołu.

– Gdy letni zmierzch zapadnie już i księżyc zjawi się, usłyszysz, jak nadbiega z mórz upiorna smocza pieśń – zanuciła⁴. – Przyjdą, tak jak zawsze od tysiąca lat. Skończcie śniadanie i pojedziemy do miasta. Robota może zaczekać.

Tyłne drzwi rozwarły się z głośnym hukiem i stanął w nich Podo, cały spocony i zdyszany.

– Pluskacze! – zawołał gromko i uniósł w powietrze worek z czymś wijącym się i skrzeczącym przeraźliwie. Trzepnął worek kijem i pisk natychmiast ucichł.

Nugget zaskowytał, stanął na tylnych łapach i zaczął obwąchiwać zdobycz.

– Tam w ogrodzie grasują jeszcze dwa te małe śmierdziele, ale te trzy tutaj – potrząsnął workiem – nie będą już podgryzać naszych warzyw, mówię wam. Parszywe, małe złodziejaszki...

⁴ „Z Legendy o Górach Zatopionych”, klasycznego, skreańskiego wiersza. Późniejsza wersja tej opowieści została wydrukowana w książce Eezaka Fenchera *Wielka historia najsmutniejszych pieśni*. Patrz strona 335 w załącznikach.

Zauważył, że troje wnuków i córka bacznie mu się przyglądają i odchrząknął.

– Nie martwcie się. Zrzucę je z klifu prosto do Morza Ciemności, jak tylko zjem kilka twoich przepysznych placeśników, serdeńko. Skinął na Nię, próbując złagodzić burkliwy ton.

Nia szeroko otworzyła usta ze zdziwienia.

– Jak to wrzucisz je do morza?

Podo podrapał się po głowie.

– To proste, zobacz, biorę ten worek i... zrzucam. Z klifu. Tak po prostu.

Leeli usiadła z widelcem w ręku i przerażeniem na twarzy.

– Dziadku, nie możesz ich tak po prostu zabić!

Zerwała się od stołu, a chłopcy przewrócili oczami. Utykając, podeszła do swego wysokiego dziadka i spojrzała na niego z budzącą litość słodyczą.

Podo kochał swą małą wnuczkę bardziej niż cokolwiek w Aerwiar – a ona świetnie o tym wiedziała.

– To takie *słodkie* stworzonka, dziaduniu, nikomu nie robią krzywdy.

Mężczyzna prychnął i wskazał na zadrapania na ramionach.

Leeli nawet na nie nie spojrzała.

– Co roku biorą tylko kilka warzywek, by nakarmić swe małe pluskaczątka. Nie wierzę, że mógłbyś to zrobić. Proszę, dziadku, nie zabijaj tych małych, puchatych kulek.

Chwyciła go za koszulę, przyciągnęła do siebie jego twarz i ucałowała w wykrzywiony grymasem policzek.

– Chodź, Nugget – rzuciła i wyszła z kuchni.

Worek zapiszczał i Podo znowu klepnął go kijem, tym razem łagodniej. Gderając pod nosem, położył go na podłodze pod stołem i wsunął do ust placeśnika.

– Janner, chłopcze – zaczął, nie podnosząc wzroku znad talerza – na festynie może się zrobić niebezpiecznie, a wiesz, że Fangowie robią się jeszcze złośliwsi, gdy widzą, że my, Skreańczycy, dobrze się bawimy.

– Tak, sir. – Janner spojrział w swój talerz i zacisnął dłonie na oparciach krzesła, szykując się na to, co miał zaraz usłyszeć.

– A jako że jesteś najstarszy, ponosisz największą odpowiedzialność. To oznacza...

– ...oznacza, że muszę pilnować Tinka i Leeli i przyprowadzić ich bezpiecznie do domu. Każdego dnia tego słucham, głupi nie jestem.

Janner zaskoczył nawet samego siebie. Wiedział, że przeholował, ale było już za późno. Gromadzona latami frustracja postanowiła wybuchnąć akurat tego ranka nad stosem placeśników.

– Oznacza, że robię za niańkę i nigdy nie mogę robić tego, co JA chcę.

Tink prychnął i próbował zdusić śmiech, wpychając sobie kolejny wielki kęs do ust. Janner kopnął go pod stołem, lecz chłopak prychnął ponownie.

– Nie zamierzam spędzać życia na zamartwianiu się o Tinka i Leeli, na ciągłym uganianiu się za dwójką dzieciaków i cackaniu z nimi jak stara baba! To marnowanie życia!

– Synu... – zaczął Podo.

– Nie jestem twoim synem! Ani ty moim ojcem! Gdyby mój ojciec żył, to by mnie rozumiał.

Janner natychmiast znienawidził siebie za to, co powiedział. Od-dychał z trudem, wpatrując się w piec i bojąc spojrzeć w oczy dziadkowi. Czuł gorący ciężar na piersiach i łzy napływały mu do oczu. Wsunął dłoń do kieszeni i ścisnął w niej rysunek swego ojca. Tak mocno, jak nigdy wcześniej, zapragnął znaleźć się teraz na tej łodzi, gdzieś daleko na Morzu Ciemności, daleko od Glipwood i tego, co teraz czuł.

Podo powoli przeżuwał i połykał swoje placeśniki, rozmyślając o swoim wnuku w krępującym milczeniu.

– Tink, skończ jeść i idź się ubierać, chłopcze – powiedział, nie spuszczać wzroku z Jannera.

Nia stała przy piecu i wpatrywała się w podłogę z rękami opartymi na biodrach.

Siwy starzec wytarł usta serwetką i chwycił za brzegi stołu swymi ogromnymi rękami.

Janner wiedział, że wpędził się w kłopoty.

Nieznajomy imieniem Esben

Jak tylko drzwi za Tinkiem się zamknęły, Nia przysunęła sobie krzesło i usiadła pomiędzy Podem a Jannerem.

– Chłopcze, wiesz, że cię Kocham? – spytał Podo.

Janner przytaknął.

– Tak, sir.

– Wiem, że nie jestem twoim ojcem. On był dobrym człowiekiem. Odważnym. Dzielnie walczył i chwalebnie zginął w Wielkiej Wojnie, a na mnie spadł obowiązek wychowania was tak, jak on by sobie tego życzył.

Janner rzucił ukradkowe spojrzenie na matkę. Zbierała talerze ze stołu, siłą powstrzymując łzy.

– Posłuchaj, chłopcze, robisz się wyrośnięty i głos ci poważnieje. Pewnie wydaje ci się, że stajesz się mężczyzną, co? – Podo spojrział na Jannera, unosząc krzaczastą brew nad jednym okiem, a mrużąc drugie. – Mów, chłopcze.

– Mam już dwanaście lat! Wiem, że to niedużo, ale... – Urwał, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Czasem masz wrażenie, jakby twój brat i siostra ciągnęli cię w dół jak kotwica, co? Czujesz, jakby to miasteczko było za małe na wszystkie pomysły w twojej głowie?

Janner wbijał wzrok w dłoń. Z głębokim westchnieniem wyciągnął rysunek z kieszeni. Nia przerwała sprzątanie, gdy Janner rozwijał

go i rozkładał płasko na stole. Już nie mógł powstrzymać łez. Skapywały mu z czubka nosa prosto na kartkę i mieszały się na niej z kroplami morskiej wody.

Nia przycisnęła głowę Jannera do piersi i długo głąskała go po włosach.

– Zastanawiałam się, gdzie ten szkic się podział.

– Czy to on?

Nia pokiwała powoli głową.

– Tak.

– I on to narysował?

– Tak. – Nia delikatnie wytarła fartuchem łzy z rysunku. – To był inny czas. I inny świat. – Ucichła na chwilę. – Zanim nastali Fangowie. Twój ojciec na pewno pragnąłby, abys żeglował po własnych wodach, i pewnego dnia tak się stanie, ale gdyby tu był, to powiedziałby ci to samo co dziadek. Jest czas żeglowania i czas przebywania w domu.

– Chłopcze, rozumiem więcej, niż myślisz. – Głos Poda złagodniał. – Ale posłuchaj mnie: byłem przy śmierci twojego ojca. Nie widziałem jej, ale byłem przy nim cały czas.

Janner gwałtownie uniósł głowę.

– Byłeś tam? Co się wydarzyło?

– Tak.

– Tato, nie... – jęknęła Nia.

– Czas, aby się czegoś dowiedział o tym, skąd pochodzi, dziecinko. – Podo wskazał na rysunek, a potem na Jannera. – Tylko spójrz na niego, to przecież wypisz wymaluj...

– Nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Przywoływanie pamięci zmarłego Esbena nie przyniesie nic dobrego. *Nic* dobrego. – Głos Nii zadrżał.

Janner nie mógł znieść widoku swojej matki w takich emocjach, ale desperacko pragnął dowiedzieć się czegoś więcej.

– Miał na imię Esben? – Janner miał nadzieję, że dziadek będzie mówił dalej.

Podo i Nia spojrzeli na niego ze smutkiem.

Kobieta ucałowała włosy syna.

– Nie mów nic więcej. Proszę – rzekła do staruszka i wyszła z izby.

Janner zamilkł.

Podo zamilkł.

Pluskacze w worku zamilkły.

Wreszcie Podo odchrząknął.

– Cóż, musisz mi zaufać. Widzę w tobie twojego ojca. Był wspaniałym mężczyzną. Walczył za nas i *zginął* w tej walce. Twoja siostra siusmajtka i braciszek to skarbeczki, tak samo jak ty, a nie chcielibyśmy stracić naszych skarbulków. – Staruszek pochylił się do przodu i zniżył głos. – Przelano krew, abyście wszyscy troje mieli dobre życie, i jeżeli to oznacza, że jeden raz nie pograsz sobie w zebzę, to niech tak będzie. Częścią bycia mężczyzną jest stawianie potrzeb innych nad własnymi. – Janner pomyślał o Tinku i Leeli. Świadomość, że zawsze musi się nimi opiekować, wciąż napawała go goryczą, ale kochał ich szczerze. Chciał być dobrym i odważnym mężczyzną, jak jego ojciec – którego imię po raz pierwszy w życiu usłyszał.

– Tak, sir. Postaram się – odparł, ale nie był w stanie spojrzeć Podowi w oczy. Złożył rysunek z powrotem i spojrzął pytająco na dziadka. Ten skinieniem głowy udzielił mu pozwolenia i Janner delikatnie schował kartkę do kieszeni.

– A więc, chłopcze, jako że jesteś już taki dorosły, to może razem z bratem i siostrą pójdziecie na festyn beze mnie i matki na początku? Wciąż mamy trochę roboty do dokończenia. Ty dowodzisz.

– Ale mama powiedziała, że Leeli nie może...

– Eee tam – odparł i zaśmiał się Podo. – Ja zajmę się matką, a ty pilnuj siostry. Twoja matka i ja niedługo do was dołączymy. Dasz radę?

– Tak, sir – odrzekł Janner, nagle tracąc pewność siebie.

Mężczyzna klepnął dłonią w stół.

– A zatem ustalone. Ale musisz coś jeszcze dla mnie zrobić, zanim pójdziecie na festyn. – Wręczył Jannerowi worek pluskaczy i zniżył głos. – Czy mógłbyś dla twego drogiego Poda rzucić z klifu te śmierdziele?

Janner wybałuszzył oczy.

– Co takiego?

– Eeech, tak tylko się wygłupiam – powiedział staruszek, wzdychając z rozczarowaniem. – Nie mógłbym tego zrobić po tym małym przedstawieniu Leeli.

Wsunął dłonie do kieszeni i wręczył Jannerowi trzy szarawe monety. Odgryzł kolejny kawałek placeśnika, przełknął go i beknął.

– Kupcie sobie coś na ząb.